

# DZIAŁKA NA MARSIE



czyli  
czy Bóg kocha Polskę?

Józef Szewczyk

Wszelkie prawa zastrzeżone.

*Publikowanie w całości lub we fragmentach za pisemną zgodą  
wydawnictwa. Wykorzystanie krótkich fragmentów do informacji  
o książce i jej recenzowania jest ze wszelkich miar wskazane.*

Autor:

Józef Szewczyk

ISSN 978-83-62073-04-7

Wydawca: AGENCJA AS

2010

## Klony pod lodem

Być może za 29,5 tysiąca lat zjednoczona Europa znajdzie się pod lodem i szukać jej będą następne pokolenia, jak my szukamy zaginionej Atlantydy. Jest taka teoria, że co 40 tysięcy lat skorupa ziemska obraca się pod wpływem niezrównoważonego przyrostu ciężaru lodu na biegunie i te lądy, które są dzisiaj w strefie umiarkowanej, znajdą się w okolicy bieguna pokryte warstwą lodu, a biegun z lodem przemieści się w kierunku równika, topniejąc po drodze.

Nie jest wykluczone, że jakieś klony i mutanty żyjące wówczas na planecie odkopią ten plik, zapisany w jakimś okruchu krzemu, i badać będą historię PRL-u, Solidarności, IV RP, Euro 2012, bliźniaków, IPN-u, agentów, patriotów i niepatriotów. Może nawet natrafią na jakieś dwie identyczne teczki i spierać się będą, która należała do prezydenta, a która do premiera. Może natrafią na jakiś tłum manifestantów i zastanawiać się będą, czy nasz gatunek nie wymarł przypadkiem dlatego, że osobnicy płci męskiej masowo przechodzili na wcześniejszą emeryturę. Być może dojdą wtedy do wniosku, że odkrywają coś fascynującego, nowe prawa i zwyczaje im nieznane. Będą spekulować, dlaczego ta wspaniale rozwijająca się cywilizacja umarła, jaki to kataklizm ją dotknął albo jaki gatunek wyparł.

Wizja, że być może kiedyś ktoś będzie oglądał nas, tak jak dziś naukowcy oglądają szczątki hominida odkryte w jaskini Ałtaju albo mamuta odkryte na biegunie północnym, napawa mnie pewnym spokojem ducha i relatywizuje wszelkie stosunki do polskiej rzeczywistości. Ona, jak ów mamut w lodowej skamielinie, teoretycznie nie powinna w takiej formie i pod taką szerokością geograficzną występować. A jednak występuje. Oznaczać to może, że na biegunie góra lodu robi się coraz większa i równowaga ciężaru na skorupie ziemskiej jest coraz bardziej zachwiana. Nie wiadomo tylko, w którą stronę ta skorupa się przesunie. Równie dobrze możemy trafić na Syberię w łapy rosyjskiego niedźwiedzia, jak i w strefę podzwrotnikową i zostać republiką bananową.

## Czy Bóg kocha jeszcze Polaków?

Jakiś czas temu na okładce „Wprost” zadano pytanie, czy Pan Bóg kocha jeszcze Polaków. Wówczas dziennikarzom nie udało się ustalić, jak jest z tą miłością Boga do rodaków. Świętej pamięci ksiądz Józef Tischner nie był widocznie upoważniony do odpowiedzi w imieniu Boga i pytanie zbył sentencją, że prawdziwą miłość zyskuje się nie za coś, lecz mimo wszystko.

Pytanie to nie daje mi spokoju, tym bardziej że przez wiele lat politycy przy prawie każdej okazji podkreślali, że Bóg czuwa nad nami, że to i tamto udało się osiągnąć z pomocą boską. Po tragedii pod Smoleńskiem wiele osób odniosło wrażenie, że Bóg nas opuścił, i zadawało sobie pytanie, dlaczego to nas spotkało takie nieszczęście, za co Bóg tak pokarał nasz naród. W katolickim kraju ludzie nie tylko wierzą w istnienie Boga, ale w jego nadprzyrodzoną i sprawczą moc, co na język zwykłego człowieka przekłada się wiarą, że Bóg jest sprawiedliwy i za dobre uczynki wynagradza, a za złe karze.

Pokusa, aby zadać pytanie, kiedy sobie stwórca o nas przypomniał, jest wielka, ale prowadzi na intelektualne mielizny. Jeśli jest wszechmocny, to przygląda nam się cały czas. Może raz uważniej, a innym razem przez palce, lecz wszystko to, co jest związane z Polakami działa się za jego wiedzą i przyzwoleniem. Nawet to całe zło, które przypisuje się PRL-owi. Może to była kara za poprzednie lata, a może Najwyższy coś tam poza SB widział – nie tylko złe, ale i dobre strony tamtego systemu? Może się wkurzył dopiero wtedy, kiedy dostrzegł, co wszyscy już wiedzieli, że dalej tak nie można? On wie to najlepiej. Wszyscy, którzy uważają, że wiedzą coś więcej, są po części i głusi, i ślepi.

Miliony wiernych są przekonane, że Bóg przypomniał sobie o nas jesienią 1978 roku, kiedy Karol Wojtyła został wybrany na papieża Jana Pawła II. Od tego wszystko się zaczęło, nasze wyzwolenie, wolność, demokracja i powrót do cywilizowanego świata. Wielu ludzi uważa, że pierwszą oznaką miłości Boga były strajki w 1980 roku i powstanie „Solidarności”. Nie można tego wykluczyć, choć nie bardzo daje się to pogodzić z deklaracjami strajkujących, zapisanymi w 21 postulatach, o poszanowaniu ustroju, kierowniczej roli PZPR-u i sojuszów międzynarodowych. Jeśli to był wybieg Najwyższego, aby Polakom przywrócić wolność, to trzeba przyznać, że godny Mistrza. Tylko za jaką karę był potem stan

wojenny? Za co była Pokojowa Nagroda Nobla dla Lecha Wałęsy – nietrudno zgadnąć. Czym był potem okrągły stół, spory trwają do dziś. Zwycięstwem rozsądku, zmową agentów, zgodą czy zdradą narodową? Nagrodą czy karą? A reformy, które przeprowadził Leszek Balcerowicz? Czy to, że nie mamy własnych banków, fabryk, gazet, to łaska pańska czy kara boska? Za jakie grzechy miliony ludzi dotknęło bezrobocie i ubóstwo? Teraz się nawet inaczej to nazywa – wykluczenie. Lepiej brzmi, choć chodzi o nierówność społeczną, niesprawiedliwy podział dóbr, nierówne szanse. Okazuje się, że mamy pełne półki, znakomity system i parę milionów nieudaczników z głodnymi dziećmi.

Jeśli jednak przyjmiemy, że kapitalizm, wolny rynek to najlepsze rozwiązanie, dlaczego nie potrafiliśmy uratować polskich stoczní? Dlaczego nie potrafimy zreformować systemu opieki zdrowotnej? W tym nam obcy już nie przeszkadzają.

Kto i za co ukarał ludzi, którzy wybrali życie na emigracji? Kiedyś rodaków z galicyjskich wsi wyganiał głód, później komunistyczny reżim. Czego brakuje im w wolnej, niepodległej Polsce? Bardziej wolności czy chleba? Bo nie chce mi się wierzyć, że z dobrobytu wybiera się rozłąkę i tułaczkę.

A Lech Wałęsa i rola, jaką odgrywa w Polsce – kara to dla nas czy nagroda? Noszony na rękach w pierwszych dniach wolności, oskarżony o agenturalną przeszłość, kiedy władzę sprawują jego dawni koledzy. A dwie kadencje Aleksandra Kwaśniewskiego? I wreszcie śmierć Lecha Kaczyńskiego – czym jest: darem niebios czy karą?

Zostawmy politykę i pozostawmy przy fundamentalnym pytaniu – za co miałby Bóg kochać Polaków? Są bardzo pobożni. Może bardziej niż cała Europa, do której tak bardzo chcieliśmy wejść. Czy miałby nas kochać za to, że zmierzamy ku większej bezbożności, konsumpcyjnemu stylowi życia, kosmopolityzmowi?

Może jesteśmy narodem, który z pracy uczynił cnotę, tak jak kalwini i protestanci? Może pracujemy sumiennie od Szwajcarów, Niemców czy Szwedów? Może dłużej od Japończyków, Koreańczyków, Tajów, Chińczyków? Może mniej kradniemy, mniej zabijamy, mniej pijemy?

Może Polacy mniej cudzołożą? Może jesteśmy bardziej otwarci, bardziej postępowi od Holendrów, którzy wymyślili „Big Brothera”, akceptują miękkie narkotyki, małżeństwa homoseksualne i eutanazję? Może jesteśmy bardziej tolerancyjni od Francuzów, którzy w szkołach i miejscach publicznych zakazują używania symboli religijnych pod każdą postacią? Może...

Przez moment wydawało się, że świat pokochał nas za Solidarność. Lechu dostał Nobla, każdy czuł się w obowiązku wysłać tira z paczkami do zniewolonej Polski, tak jak wysyła się nadwyżki zboża, ryżu i konserw z rezerw wojskowych

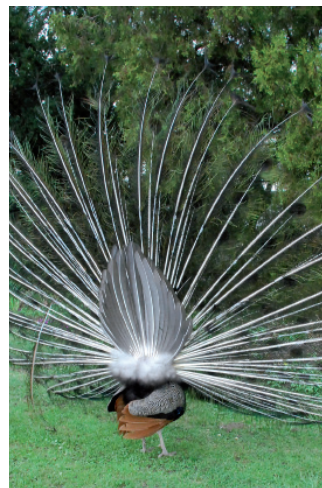


do głodującej Afryki. Dlaczego jednak Solidarność nie przyjęła się poza Polską? Dlaczego strajki, msze i ołtarze nie rozprzestrzeniły się poza Bugiem i Odrą? Czy w Europie, Azji, Afryce i w obu Amerykach nikt nie potrzebuje solidarności, sprawiedliwości, obrony praw pracowniczych?

Zostawmy świat w spokoju – dlaczego w naszej ojczyźnie związek ten w prywatnych firmach traktowany jest jak największe nieszczęście, najgorsze zło? Może nie wszyscy poznali się na tych ideach, a może to utopia?

W świadomości dużej grupy Polaków istnieje przekonanie, że co jakiś czas Bóg się od nas odwraca, pozwalając przejąć władzę lewicy. Potem daje porządzić braciom Kaczyńskim, Giertychowi i Lepperowi. Ci wywinęli mu parę numerów, więc się wkurzył i dla odmiany postanowił sprawdzić liberałów z Tuskiem na czele. Naród wierzący kocha takie proste wytłumaczenia, proste symbole i oczywiste prawdy. Procesy społeczne i polityczne można wytłumaczyć szatanem, który miesza ogonem w Rzeczypospolitej. Raz występuje on pod postacią czerwonego postkomunisty, innym razem kapitalisty, Żyda, ruskich, lub agentów. Wszyscy zresztą są z nim w układach, nie liczą się z prawdziwymi Polakami i rozkradają majątek narodowy.

Pytanie, czy Bóg nas jeszcze kocha, pozostaje wciąż aktualne i to mnie skłania do stwierdzenia, że Polska jest normalnym krajem, a Polacy normalnymi ludźmi. Poza oczywistymi wyjątkami. A te, jak wiadomo, potwierdzają regułę.



## Dlaczego zabrakło franków?

Kryzys gospodarczy sprawił, że w Polsce zabrakło franków szwajcarskich. W bankowości kapitalistycznej ma to symboliczne znaczenie, podobne do octu na półkach w czasach socjalizmu. Jednakże z pewną różnicą – z tego powodu nie wybuchły żadne strajki. Wydawałoby się, że Polacy w wolnej Polsce będą brać kredyty w złotówkach. Otóż logika w naszym kraju zawodzi, mimo że Polacy od pewnego czasu mogli brać kredyty w złotówkach, dolarach, funtach, rublach, koronach, euro, to brali we frankach.

Skąd wzięła się ta miłość do szwajcarskiej waluty? Kim są ci Szwajcarzy? Małe, górzyste państewko wciśnięte między potężne Niemcy, Francję, Włochy i mniej już potężną Austrię nikomu nie podskoczy, ale też nikomu nie ulega. Oparło się nawet Hitlerowi, choć wiele potęg tego nie potrafiło. Ale czy ktoś widział ich prezydenta w Tbilisi? Czy sprzeciwiali się rurze na dnie Bałtyku? A może budują tarczę antyrakietową?

Kraj, w którym każdy dorosły mieszkaniec trzyma w domu karabin, nie wysłał swoich żołnierzy do Iraku ani do Afganistanu. Kiedy i gdzie oni mieli się nauczyć walczyć, skoro od 1815 roku są państwem neutralnym? Ostatnia wojna domowa wybuchła w Szwajcarii w 1847 roku. Zginęło w niej 100 osób. W Polsce od tamtej pory wybuchło pięć powstań, braliśmy udział w dwóch wojnach światowych, jednej polsko-rosyjskiej i polsko-czeskiej. W zamachu majowym było trzy razy więcej ofiar, a każdy protest robotniczy, stan wojenny przynosił tyle ofiar, ile wojna w Szwajcarii.

Kiedy my szliśmy na barykady, na Sybir, na bolszewika, do lasów, do podziemia, kiedy walczyliśmy z Hakatą i caratem, oni liczyli i przeliczali franki, stopy procentowe, dyskonto, odsetki od odsetek, stopy zwrotu. Kiedy my lizaliśmy rany po kolejnym przegranym powstaniu, oni zakładali nowe banki. Nawet nasz bohater narodowy, pierwszy kosynier pierwszej Rzeczypospolitej, Tadeusz Kościuszko, kiedy przestał walczyć i wyjechał do Szwajcarii, to się przestawił na projektowanie maszyn rolniczych. Kiedy my nie mogliśmy zrzucić jarzma zaborcy, u nich nad jeziorem przechadzał się niejaki Włodzimierz Uljanow. Gdzie były wtedy Stany Zjednoczone, gdzie była umowa o ekstradycji? Polańskiego zatrzymali, a Uljanowa nie mogli?

U nas każdy, kto był agentem, jest potępiony, a Szwajcarzy wykorzystali talent naszego rodaka Kudelskiego nie tylko do budowy magnetofonów, ale i aparatury podsłuchowej. Komu potrzebne są takie urządzenia? Szpiegom, agentom, policji. Można na tym zarobić? Można. To się produkuje i sprzedaje!

My otwieramy archiwa, a oni uparcie bronią nienaruszalności tajemnicy bankowej. Wszystkie fakty przemawiają na ich niekorzyść. Nasz system wartości jest inny. Ich historia z naszą nie ma absolutnie nic wspólnego. Poza oczywiście frankami, w których naród brał kredyty, a teraz musi spłacać wyższe raty.

Ciekaw jestem, czy ludzie braliby kredyty w złotychkach, gdyby w Polsce każdy obywatel miał w domu karabin. I jakby wyglądały mecze piłkarskie, wybory parlamentarne, prywatyzacja albo sprzedaż stoczni?

To naprawdę kraj nie do naśladowania. W Szwajcarii prezydent zmienia się co roku, rząd składa się z siedmiu ministrów i nie odpowiada przed parlamentem. Wyobraźcie sobie Polskę z siedmioma ministrami! Niemożliwe, za mało, nie miałyby kto chodzić na wywiady do telewizji i radia. A tam siedem osób rządzi krajem i wszystko w nim funkcjonuje jak w szwajcarskim zegarku!

Dyplomy prywatnych wyższych uczelni nie są honorowane przez państwo. Urzędowe są cztery języki. Służby zdrowia nie finansuje się z podatków, tylko z obowiązkowych ubezpieczeń obywateli.

Pod Alpami wykopali dla naukowców tunel o długości 35 kilometrów, w którym fizycy mogą rozpędzać elementarne cząsteczki, zderzać je ze sobą, analizować wyniki i zgłębiać tajemnicę powstania świata, tak jakby im nie wystarczyło, że to Bóg go stworzył. Gdyby Szwajcarzy mieszkali w Zakopanem, to autostradami podziurawiliby Tatry jak ser.

W Genewie na środku jeziora zbudowali fontannę, która wyrzuca wodę na kilkadziesiąt metrów w górę. Tu nas akurat nie przebili, bo my mamy w Warszawie tunel wzdłuż Wisły.

Owszem, mają ponad 600 banków, mają nienaruszalność tajemnicy bankowej, ale czy to wystarczy, abyśmy jako naród zapałali miłością do szwajcarskiej waluty? Może rodacy doszli do wniosku, że skoro nie mogą mieć kont, to przynajmniej kredyty będą mieć we frankach?

Jakiś czas temu szwajcarskie linie lotnicze wprowadziły nowy rozkład lotów i nowe korytarze powietrzne. Stało się to, czego nikt nie podejrzewał – punktualnie dotychczas startujące i lądujące samoloty zaczęły się nagle spóźniać. Opóźnienia były na tyle duże, że dwie godziny na transfer bywało



za mało i ludzie koczowali na lotniskach, oczekując na kolejne połączenie. Szwajcaria nie mogła sobie poradzić z nowym rozkładem lotów! Przynajmniej przez moment było to przyjazne nam państwo.

Kiedy Szwajcarzy zauważyli chaos w powietrzu, natychmiast zaczęli liczyć, ile ich kosztuje: catering dla pasażerów, dodatkowe noclegi, reklamacje, ile tracą dochodów w wyniku spadku liczby przewożonych pasażerów itd. Każdy obywatel tego kraju wiedział, ile jego pieniędzy marnuje się z powodu godzinnego opóźnienia jednego samolotu. Presja mediów była tak duża, że po dwóch miesiącach chaos opanowano.

Szwajcarzy to naród niezwykle zaradny. Potrafiliby ze swojej słabości uczynić siłę. Jako kraj Szwajcaria nie odgrywa wprawdzie znaczącej roli w polityce europejskiej, nie należy nawet do Unii Europejskiej, ale to tam znajdują się siedziby wielu międzynarodowych organizacji. Nie mają żyznych gleb, a słyną z produkcji serów i czekolady. Nie mają fabryk, ani montowni samochodów, a organizują najszynniejszy w Europie salon samochodowy.

Na szwajcarskich drogach panuje niezwykle wysoka samodyscyplina kierowców. Jeśli jest ograniczenie do 90 km/h, to wszyscy zwalniają. Jeśli na autostradzie obowiązuje prędkość do 120 km/h, to wszyscy jadą jak zahipnotyzowani – ani szybciej, ani wolniej. Czasem miałem wrażenie, jakby sznur samochodów utknął w roztopionym, żółtym serze – nikt się do mnie nie zbliżał ani ode mnie nie oddalał. Czasem zapomniał się jakiś Niemiec, Włoch lub Polak, ale tylko do najbliższego fotoradaru, albo patrolu policji. Szwajcarzy też się spieszą do swoich zajęć, ale zgodnie z przepisami. Ponadto szacunku do prawa uczą ich policyjne radary. Są one zamontowane w różnych miejscach, także najmniej spodziewanych – na billboardach reklamujących sery lub zegarki. Na dodatek one działają. Potem policja wysyła fotki amatorom szybkiej jazdy i nie ma zmiłuj się, trzeba płacić, a cudzoziemiec po przekroczeniu granicy może trafić do aresztu za niezapłacone mandaty.

Wydzielonym pasem dla autobusów i taksówek jeżdżą tam... autobusy i taksówki, co świadczy o braku przedsiębiorczości miejscowych kierowców. U nas jest większa demokracja, a „bajpasy” są tylko teoretycznie dla autobusów, w praktyce jeżdżą nimi wszyscy. Mało tego, u nas pasy do skrętu w lewo służą do skrętu w prawo, a pasy do skrętu w prawo służą najczęściej tym, którzy skręcają w lewo. Trzeba tylko wytrzymać i wcisnąć się w odpowiednim czasie przed frajera. Szwajcarzy wymyślili wiele rzeczy, zbudowali tunel do rozbijania hadronów, a nie znają takich prostych, ludzkich kombinacji...

Od lat każdy, kto chciał spełnić jakąś tajną misję albo wypocząć – jechał do Szwajcarii. Ta przyjmowała każdego, także wygnańców z innych państw, jak choćby hugenotów. Tu krzyżowały się szlaki poetów, artystów, biznesmenów, polityków, agentów, dyplomatów i przestępców. Nikt się nimi nie zajmuje może dlatego, że Szwajcarzy mają na głowie banki i zegarki. Dziś Genewa jest jednym z najbardziej kosmopolitycznych miast Europy, gdzie połowa mieszkańców to obcokrajowcy.

Trudno uwierzyć, ale wszystko zaczęło się w XVI wieku od niepozornego człowieka, krytyka i reformatora Kościoła – Jana Kalwina. Ten młody, bo zaledwie 28-letni wówczas Francuz, w drodze do Strasburga zatrzymał się w Genewie, której mieszkańcy zbuntowali się przeciw klerowi i stworzyli republikę protestancką. W wolnym wówczas mieście Kalwin otrzymał od miejscowego, protestanckiego kaznodziei Wilhelma Farela, propozycję zreformowania miejscowego Kościoła. Kalwin znany był już ze swoich radykalnych i krytycznych poglądów wobec Kościoła, więc propozycję przyjął i zabrał się energicznie do tego dzieła, wprowadzając surowe zasady moralne. Zabronił ludziom tańczyć, śpiewać sprośne piosenki, a nawet czytać romanse. Za to wydłużył nabożeństwa, wygłaszając godzinne kazania. Jak można się było spodziewać, po dwóch latach takich rządów obywatele wolnego miasta pogonili go z Genewy. Kalwin wyjechał, a miasto pogrążyło się w jeszcze większym chaosie i nieładzie. Jak mogło wyglądać, można jeszcze zobaczyć w starych zakątkach przy Rue de Berg czy Rue de Zurich, gdzie urzędują emerytowane panienki.

Po jakimś czasie przeciwnicy Kalwina z rady miasta popadli w niełaskę, a zwolennicy poprosili go o powrót. Kiedy ponownie pojawił się w Genewie, przyznał, że był zbyt surowy i niecierpliwy. Potem zrobił to, co zaplanował – zreformował prawo, zdemokratyzował oświatę, wzorowo zreformował Kościół, zaakceptował lichwę. Uważa się, że stworzył podwaliny demokratycznego państwa, a z Genewy stworzył silny ośrodek intelektualny i naukowy. Za swe dzieła zyskał przydomek papieża Genewy. Niestety, przy okazji spalił na stosach paru przeciwników i kilkadziesiąt niewinnych kobiet, o czym już zapomniano.

W czasach Kalwina jego dzieła, z powodu cenzury, były w Polsce zakazane. Kto wie, gdyby nasi przodkowie wykazali wówczas więcej zainteresowania reformami Kościoła, być może dziś udzielalibyśmy Szwajcarom kredytów w złotychkach?

## Czego nie chce naród?

Ostatnie badania w 2009 roku pokazały, że naród nie chce Donalda Tuska, jego polityki miłości, gospodarki jak w Irlandii i tego wszystkiego, co się jeszcze trzy lata temu narodowi podobało.

Kapryśny jest nasz naród. Czy Tusk kogoś skrzywdził? Nie. Nawet jednorękiego bandyty. Czy pod jego rządami gospodarka nie poradziła sobie najlepiej ze wszystkich gospodarek Europy? Czy nie ukręcił natychmiast łba każdej aferze, która ujrzała światło dzienne za jego rządów? Mimo to naród na Donaldzie się zawiodł. I jest w tym konsekwentny.

W 1989 roku naród powiedział, że chciałby dokończyć to, co zaczął w 1980 roku. W 1993 roku stracił cierpliwość do rządów Wałęsy, solidarnościowej ekipy, reform Balcerowicza, prywatyzacji i kapitalizmu. Kupił hasło SLD: „Tak dalej być nie musi”. Naród wiedział, co to znaczy, tylko politycy SLD chyba nie do końca, kontynuując reformy Balcerowicza.

W następnych wyborach naród ponownie zaufał Solidarności, nazwanej marketingowo AWS i pozwolił na głębokie reformy społeczne. U nas reformy polegają na tym, że kiedy jest powszechna prywatyzacja, to obywatele na tym tracą, a zyskują banki, kiedy jest reforma emerytalna, to tracą emeryci, a zarabiają fundusze emerytalne, a gdy jest reforma służby zdrowia, to pacjentów nie ma kto leczyć. Nic dziwnego, że w kolejnych wyborach znów zwyciężył SLD.

Sojusz wprowadził kraj do NATO i Unii Europejskiej, ale ludzie się na tym nie poznali i w najbliższych wyborach postawili na PiS, które zapowiadało... zmiany. Być może naród liczył, że bliźniacy wyprowadzą nas z NATO i UE. Ale oni nas tylko trochę skłócili, trochę ośmieszyli na arenie międzynarodowej, więc naród i im podziękował, wcześniej niż się spodziewali.

Naród wybrał miłość, uwierzył Tuskowi, zapomniał, że był „liberałem-aferą”, że otoczył się ludźmi, dla których nie powinno być miejsca w polityce. Ludzie nawet by mu wybaczyli, że jedyną jego filozofią jest nic nie zmieniać. Ale żeby wszystko robić, żeby nic nie robić, to nawet narodowi się nie podoba.

Tuskowi nie chciało się nawet kandydować na prezydenta...

## Moja czwarta kolonia

W zamorskich koloniach cywilizacja zachodnia rozwijała się na wybrzeżach, przy fortach, faktoriach i w portach, co jest zrozumiałe – lepiej być bliżej statku, którym w razie buntu tubylców można się zabrać do Korony, niż znajdować się w głębi nieznanego lądu. U nas też wszystko, co postępowe przychodzi z Gdańska, a nawet Sopotu. Dokładnie ze stoczni, które zanim upadły, zwodowały nowe idee i desant nadmorskich polityków, dając tym samym początek cywilizacji gdańskiej.

Nowa cywilizacja jest głęboko zakorzeniona w historii Polski, zwłaszcza tradycji szlacheckiej, kiedy to lud polski wiódł życie beztroskie, pełne uroku i osobliwych zwyczajów, choć królowie nie grywali w piłkę nożną przed radą gabinetową ani wolną elekcją. Naród wówczas uprawiał rolę, polował, wojował, pił, swawolił i wykazywał nadzwyczajne przywiązanie do lekceważenia prawa. Od czasu do czasu prowadził jakąś wojnę, zajął Moskwę, pobił Turka, zrobił wolną elekcję i generalnie był na topie. Tak nam zazdroszczono wolności szlacheckiej, sielskiego klimatu, że inne kraje zapragnęły je krzewić u siebie. Nie było jeszcze wtedy funduszy unijnych, firm szkoleniowych ani piarowców, więc zadanie to powierzono generałom. Ci w ramach wolontariatu wysłali swoje armie na praktykę nad Wisłę i tak im się tu spodobało, że postanowili zostać na 123 lata i podzielić nasze ziemie między siebie, co im się udało dopiero w trzecim podejściu.

Kiedy nasz dumny naród zorientował się, co jest grane, zaczął organizować powstania, ale, niestety, wszystkie kończyły się tragicznie i kolejne pokolenia musiały się nauczyć żyć pod panowaniem niemieckim, rosyjskim i austriackim. Życie w kolonii niesło jednak pewne ograniczenia. Mimo iż rosyjski car uwłaszczył chłopów, to naród z czasem się wkurzył i odzyskał wolność, nie wygrywając żadnej wojny. Potem się zreflektował i wygrał jedną cudem nad Wisłą. Nie mamy się czego wstydzić – jest wiele państw, które uzyskały niepodległość, nie tylko nie wygrywając żadnej wojny, ba, nawet nie prowadząc jej nigdy, jak choćby Ukraina, Białoruś, czy Słowacja.

Następnie przyszła II wojna światowa i z powrotem staliśmy się kolonią niemiecką, a przez pewien czas również radziecką. Wojnę w końcu wygraliśmy, odnosząc wiele zwycięstw moralnych, z których największym było po-

wstanie warszawskie zakończone śmiercią 100 tysięcy cywilów i ruiną miasta. Za to udział w zdobyciu Berlina po latach okazał się największą porażką.

Po PRL-u pozostały tylko teczki w IPN-nie. O 1000 szkół na Tysiąclecie, o powszechnej oświacie, elektryfikacji kraju, uprzemysłowieniu, emeryturach dla rolników nikt nie wie, bo nie ma tego w teczkach SB. Nawet jeśli coś tam jest, to na pewno nie takie, jakie być powinno. Nie taka była gospodarka, ekonomia, nie taki przemysł, nie takie prawo, banki, gazety. Tylko wódka trzymała wysokie standardy i Kościół, który wspierał wolnościowe dążenie i demokratyczne przemiany, ale na wszelkie wypadek nie u siebie.

W państwach kolonialnych świadomość narodowa, społeczna, niezadowolenie wzrastały do tego stopnia, że wybuchały rewolty i przy wsparciu komunistów całe kontynenty wyzwalały się spod dominacji Anglików, Francuzów, Hiszpanów i Holendrów. My wyzwalaliśmy się od komunizmu głównie przy pomocy Amerykanów, Niemców, Francuzów i Anglików, ale poza tym proces wyzwalań przebiegał podobnie.

Przejęcie władzy w koloniach poprzedzały zwykle porozumienia między rządzącymi a pozbawionymi władzy. U nas przyjęły formę okrągłego stołu. Takie rozmowy są po to, aby nie doprowadzić do krwawych rewolucji i dać czas kolonizatorom na opuszczenie kraju. System polityczny w koloniach zostaje potępiony i uznany za nieludzki (tak jak u nas komunizm). Wykazuje się, że tubylec mógł być pozbawiony wszelkich praw, mógł być zatrzymany na 48 godzin, trafiać do aresztu albo być internowanym.

Nowa władza obiecuje uczynić wszystko, aby zbudować ustrój demokratyczny i sprawiedliwy, ustrój dobrobytu i szczęśliwych ludzi. Ponieważ do sprawowania władzy potrzebne są biura, urzędy, łączność, samochody, więc nowa władza przejmuje to wszystko od starej. Nowa władza zatrzymuje też przywileje starej – immunitety, gmachy, ochronę osobistą, karty płatnicze, ośrodki fitness i spa. Ministrowie zajmują wille byłych ministrów, a kierowcy limuzyny byłych kierowców. Następuje całkowita wymiana kadry administracyjnej, najważniejsze stanowiska w kolonii zajmują nasi ludzie – niby skąd wziąć zaufanych fachowców? Obywatele udzielają nowej władzy pełnego poparcia, oczekując na pracę i lepszą płacę.

Po jakimś czasie okazuje się, że w wolnym kraju, poza handlem, wszystko funkcjonuje gorzej – przemysł, służba zdrowia, oświata. Ludzie uważają, że nie muszą pracować tak ciężko, jak w czasach kolonii (komuny). Stocznie nie muszą produkować statków dla ideowo wrogiego nam sąsiada, a poza tym wszystko wozi się tirami. Rolnictwo podupada, bo nie opłaca się nicze-

go uprawiać, skoro import jest tańszy. Z czasem większość obywateli żyje w coraz trudniejszych warunkach. Natomiast przedstawiciele nowej władzy są coraz bogatsi. Bogactwo to nie wynika z ich jakichś nadzwyczajnych umiejętności biznesowych, ogólnego wzrostu dobrobytu, tylko z przewagi cywilizacyjnej nad tubylcami oraz z korupcji, nepotyzmu i nowych przywilejów.

Po pewnym czasie wzmagają się protesty, tworzy się opozycja, która domaga się reform i zmiany rządu. Nieudolność władzy i jej stopień samozadowolenia jest tak wielki, że opozycja bez trudu zdobywa władzę. Zmienia się niewiele, gdyż nowa ekipa zachowuje się podobnie jak stara, przede wszystkim zachowuje te same przywileje, popełnia te same błędy i tak samo obsadza swoimi ludźmi najważniejsze stanowiska.

Z czasem okazuje się, że bez kolonizatorów gospodarka funkcjonuje gorzej i trzeba zrobić wszystko, aby kolonizatorzy powrócili i prowadzili biznes z pożytkiem dla siebie i tubylców w specjalnych strefach ekonomicznych, na specjalnych zasadach, które podyktują miejscowemu rządowi.

W koloniach zamorskich najbogatszymi ludźmi byli przybysze z innych krajów – do nich należały najżyźniejsze ziemie, najbogatsze pokłady surowców, plantacje trzciny cukrowej, z czasem fabryki, banki i luksusowe rezydencje z niebieskimi basenami w luksusowych dzielnicach. Budowali je, wykorzystując przewagę militarną i cywilizacyjną nad tubylcami.

U nas jest dokładnie tak samo – większość banków, prasy i mediów, fabryk, hut, supermarketów należy do Niemców, Włochów, Amerykanów, Francuzów, a nawet Koreańczyków i Hindusów. Tylko z Katarczykami coś nie wyszło. Cudzoziemcy zamiast kawy, cukru i bawełny eksportują z naszego kraju najchętniej żywą gotówkę.

W kolonii metropolia specjalnie nie interesowała się tym, co się dzieje w głębi kraju, na prowincji – czy jest tam głód, susza, epidemia? Podobnie jest u nas. Władza zajmuje się sobą, uważając, że w wolnym kraju każdy odpowiada za siebie. No chyba, że jest powódź i towarzyszy jej ekipa telewizyjna.

W odróżnieniu od zachodnich kolonizatorów, którzy chcieli mieć jak najwięcej ziemi uprawnej, złóż złota i diamentów, polscy kolonizatorzy marzą, by wszystko, co państwowe sprzedać i zostać europoseł.



## Słupki, czyli jak rządzić większością

Gdyby dziś, w epoce internetu i telefonów komórkowych, przeprowadzić powszechne głosowanie nad wotum zaufania do rządu, pewnie by go nie uzyskał. W niedalekiej przyszłości w Alejach Ujazdowskich stanie zapewne wielki telebim i codziennie podawane będą na nim wyniki popracia obywateli dla rządu. W internecie w szachy jedną partię z arcymistrzem grało już parę milionów osób, a o posunięciu decydowała większość głosów oddanych na jakiś ruch. Poprzez SMS-y wybiera się najlepszych tancerzy, piosenkarzy, sportowców. Miliony ludzi żyją dziś wirtualnym światem, spotykają się na portalach społecznościowych, uprawiają wirtualne farmy, prowadzą biznes w second live, przesyłają sobie wirtualne prezenty. Rządzić wirtualnie też będzie można! I na dodatek można będzie na tym zaoszczędzić.

Kiedy wzrośnie deficyt, minister finansów wieczorem zada narodowi pytanie, czy podnieść podatki, czy obniżyć płace i wydłużyć wiek emerytalny. Poda numery i adresy, pod które należy wysłać SMSy i emaile z odpowiedziami na tak lub na nie. Następnego dnia rano będzie wiadomo, że może wrócić do żony. Jego następca w pierwszym dniu po nominacji zada pytanie, czy obniżyć podatki, podnieść płace i obniżyć wiek przejścia na emeryturę. Na telebimie zabraknie miejsca, tak wielki będzie słupek społecznego poparcia. Wtedy będzie mógł rządzić w oparciu o faktyczne poparcie społeczne, a nie jak dotychczas na podstawie mandatu sprzed roku czy czterech lat.

Kontakty władzy ze społeczeństwem ciągle się zmieniają, doskonałą. To, że rząd liczy się z sondażami jest pozytywnym zjawiskiem. Są one najtańszą formą kontaktu z narodem. Nie trzeba państwowej komisji wyborczej, nie trzeba okręgów, lokali wyborczych. Nie trzeba dotować z budżetu państwa partii politycznych, prowadzić konsultacji ze związkami zawodowymi. Wystarczy poznać poglądy i oczekiwania próby reprezentatywnej, żeby wiedzieć, czy dobrze rządzi się państwem! Grupa ta może liczyć tyle osób, ilu mamy posłów i senatorów reprezentujących naród, co trwa do chwili otrzymania immunitetu, diet, pensji, biur i hoteli.

Tylko jak wybrać tę grupę reprezentatywną, aby nie była to grupa trzymająca władzę, ani Miro, Rychu czy Zdzichu?

## Taki równy gość

Wielu ludzi stara się obrzydzić mi Tadeusza Rydzyka. Mówią i piszą, że jest symbolem wsteczności, konserwą w konserwie kleru, że antysemita, że wyłudził od staruszek pieniądze na ratowanie stoczni i nie przekazał stoczniowcom. No dobrze, przekazałby i co – stocznie by uratowano?! Na jedną wypłatę może by starczyło, ale nie na statek.

Rydzyk jest jak sól tej ziemi, a może nawet sama ziemia, niekoniecznie kujawsko-dobrzyńska. Urodził się w Olkuszu, gdzie w ogródkach działkowych mógł obserwować, jak się robi biznes na cudach. Dzieci z ubogich rodzin najszybciej mogą dorobić się w kościele, zostając księdzem. Jednak do prowadzenia prawdziwego biznesu droga jeszcze daleka, a nie każda parafia jest bogata. Ponadto trzeba trochę wiedzy, doświadczenia, kapitału, układów, intuicji i szczęścia. Do Moskwy na studia Rydzyk wyjechać nie mógł, zresztą po co. Z Rosjanami biznes się wtedy kończył! Wybrał Niemcy i dobrze zrobił. To była przez jakiś czas biznesowa ziemia obiecana. Wiele fortun wyrosło na soczkach, gumie do żucia, džinsach tureckich, elektronice z Hongkongu, a potem na enerdownskich trabantach.

Rydzyk w Niemczech trafił m.in. do radia i tam zapewne zrozumiał, że będzie to najdynamiczniej rozwijająca się branża na świecie na przełomie XX i XXI wieku, że media muszą być włączone w działalność misyjną, gdyż inaczej Kościół przegra. Soczki, džinsy, trabanty to chwilowy biznes, media to przyszłość. Lepiej obstawić nie mógł, tym bardziej że w Polsce na początku lat 90. władza na lewo i prawo rozdawała znajomym komunistyczne gazety, drukarnie, biurowce. Ci je potem odsprzedawali Niemcom, Szwajcarom, Szwedom, Norwegom, bo się zwyczajnie na tej robocie nie znali. Bądźmy szczerzy – gdybyście za darmo dostali dziś gazetę, budynek wydawnictwa też byście to sprzedali z zyskiem. Koncerny zachodnie dostrzegły wówczas, że mogą za bezcen kupić udziały w polskim rynku prasy. Za bezcen mogą wejść na nasz rynek, za bezcen mieć wpływ na politykę, modę, zachowania konsumenckie, kształtowanie historii i świadomości narodowej.

Rydzyk się spóźnił, nie dostał żadnej gazety, nie mógł też konkurować z Frau Friede Springer ani z Herr Heinrichem Bauerem czy Jürgenem Ma-

rquardem, bo nie miał takich pieniędzy, jakie mają niemieckie koncerny. Nawet gdyby miał, nie poszedłby prawdopodobnie drogą neutralności światopoglądowej, nowoczesności, konsumpcjonizmu, pozornej apolityczności. Jest wyznawcą innej filozofii, a przede wszystkim jest człowiekiem Kościoła, ma misję. Została mu do wzięcia całkiem spora grupa, przekreślona przez polityków i prozachodnie media – ludzie starsi, biedni, bezrobotni, życiowo przegrani, którzy nie istnieli jako target dla agencji reklamowych i domów mediowych pracujących dla producentów mody, kosmetyków, sprzętu AGD, biżuterii, biur podróży, samochodów. Nikt im już nic nie chciał zaoferować. Nie dla nich były telewizory plazmowe, napoje gazowane, wczasy all inclusive, komórki, karty kredytowe. Żadna agencja reklamowa, żaden creative director nie odważyli się skierować kampanii reklamowej do stałych klientów przychodni zdrowia, wiernych parafian, ludzi z niewykupionymi receptami, odmierzających czas do przybycia listonosza z emeryturą i oszczędzających latami na miejsce na cmentarzu.

Jeden Rydzyk dostrzegł w nich kawałek biednej Polski, odrzuconej, skreślonej, zapomnianej, niezaradnej, ale prostolinijnej, szczerzej i wiernej. Odkrył żyłą złota, interes życia. Genialna sprawa – wiedzieć, co zrobić, żeby cię ludzie uwielbiali. Mówić, żeby cię słuchali, prosić tak, by ci oddali ostatnią złotówkę. Najlepsi marketingowcy, spin doktorzy po renomowanych uniwersytetach nie podjęli się tego zadania, a jeden ksiądz potrafił to zrobić. Niby nie jest żadną sztuką mówić to, co ludzie chcą usłyszeć, a słyszeć chcą to, w co wierzą. Im prościej, tym jest się bardziej zrozumiałym. Kiedy Rydzyk mówi, że nie rozumie, o co ten krzyk, kiedy ktoś wypije jeden kieliszek a potem go złapią za kierownicą, to mówi tak, jak myśli cała pijąca Polska, a na pewno jej większość. On jest tylko ustami narodu.

Kiedy dostojnicy kościołni udają skromność, Rydzyk wydobywa pieniądze spod ziemi i nie ma skrupułów, że wyciąga rękę po państwowe fundusze, wchodzi w relacje biznesowe z najróżniejszymi inwestorami. Kiedy politycy udają, że przestrzegają konstytucji, a zwłaszcza rozdziału państwa od Kościoła, Rydzyk się nie bawi w konwenase, tylko uprawia politykę. Jest tak naturalny, jak wody termalne. I za to go lubię, że jest taki swój chłop, że nie udaje jak piłkarze, którzy wchodząc na boisko, ręką dotykają trawy, żegnają się znakiem krzyża, a po chwili kopią przeciwnika po kostkach i sami padają na boisko, udając sfaulowanego.

## Jak usadzić wszystkich Polaków?

Najczęściej pokazywanym i komentowanym w telewizji politykiem jest poseł Platformy Obywatelskiej, Janusz Palikot. Nie jest ważne, czy pokaże się ze sztucznym penisem, zapyta o stan zdrowia prezydenta, przyniesie do studia telewizyjnego świński łeb, a o kobiecie powie nieparlamentarne słowo. Palikot jest wszędzie, jest zawsze i jest z byle czym. I to byle co staje się w mediach najważniejszym wydarzeniem dnia. Nawet kiedy znika z życia publicznego dziennikarze pytają, dlaczego zniknął? Kiedy milczy, spekulują, kiedy przemówi.

Co takiego ma do powiedzenia narodowi filozof, były producent palet drewnianych i taniego wina musującego, że trzeba go codziennie pokazywać, pytać o zdanie, zapraszać do dyskusji, relacjonować jego konferencje prasowe? Mówi to, co można usłyszeć na bazarze, czy na budowie. A jednak reporterzy telewizyjni z kamerami i mikrofonami nie biegają codziennie do warzywniaka ani pod betoniarkę. Nie wszyscy wiedzą, że teraz nie jest ważne, co się mówi, ale kto mówi i jak mówi. Najważniejsze jest, by głos dał ktoś, kto reprezentuje rządzących i by to był głos kontrowersyjny. Głos większości musi być reprezentowany w mediach, gdyż w ten sposób media się uwiarygadniają, a kontrowersje są mile widziane, bo w ten sposób telewizja, radio czy gazeta będą cytowane, a liczba cytowań świadczy o pozycji na rynku. Taka jest logika demokratycznych wyborów i takie są reguły rządzące współczesnymi mediami.

Dawniej w telewizyjnym studio siadało czterech utytułowanych profesorów i dyskutowało przez godzinę, czy kumak to żaba zielona, czy raczej żaba zielona to kumak. Z telewizora wiało niewiarygodną nudą, ale niczego innego do oglądania nie było. Wydawało się, że wolnych mediach człowiek nie będzie mógł oderwać wzroku od ekranu.

Teraz mam dostęp do stu kanałów, ale wcale nie jest ciekawiej, bo na polowie występuje poseł Palikot, a na pozostałych są seriale, albo lecą powtórki, a wszędzie króluje kult rzekomego obiektywizmu, który ma przykryć polityczne sympatie i mierność, epidemię współczesnych mediów. W równym stopniu dotyka telewizję, radio, internet i prasę.

Jeszcze nie tak dawno wydawało mi się, że szczytem bezmyślności są sformatowane radia. Ilekroć włączałem w samochodzie radio, trafiałem na facecika, który udawał idiotę albo nim był. Jeśli zmieniłem stację, zwykle trafiałem na jeszcze głupszego prowadzącego, czasem pracującego w duecie, na jeszcze głupsze dowcipy, idiotyczne konkursy i głośniejsze rechotanie z byle czego. Ale przy dzisiejszej telewizji, w radiostacjach pracuje arystokracja intelektu!

Z demokracji wynikają różne konsekwencje. Z faktu, że ludzie są równi i mają te same prawa, wynikają rządy większości. Zazwyczaj reprezentacja głupszej większości sprawuje władzę nad mądrzejszą mniejszością. Może to jakiś paradoks dziejowy, a może wyraz sprawiedliwości społecznej, gdyż jak pokazuje historia, rządy mądrzejszej mniejszości nad głupszą większością stawały się po pewnym czasie dyktaturą, w szczytowej wersji – proletariatu, o której trudno powiedzieć, że była mądrymi rządami.

Wyobrażamy sobie po każdych wyborach, że reprezentacja głupszej większości będzie mądra, i oczekujemy, że będzie rządziła z wyobraźnią. Może nawet wytłumaczy swoim wyborcom, że warto postawić na mądrych ludzi i zrobić coś pożytecznego – unowocześnić państwo, zreformować administrację, służbę zdrowia, oświatę, wymiar sprawiedliwości.

Błąd w rozumowaniu, fałszywe założenie, wielka naiwność! Kto podcina gałąź, na której siedzi? Dlaczego reprezentacja głupszej większości miałaby być mądra? Dlaczego miałaby działać przeciwko swoim wyborcom? Kto potem na nich zagłosuje? Owszem, z mądrych rad korzysta, ale tylko wtedy, kiedy trzeba obsadzać swoimi ludźmi intratne stanowiska w spółkach skarbu państwa. Rządzić i nie mieć z tego nic to żadna sztuka.

Jakiś czas po wyborach okazuje się, że reprezentacja większości jest taka sama, jak większość, czyli generalnie głupsza, niż można było przewidzieć. Wówczas zaczyna się problem. Kult głupoty przenosi się na coraz to nowe dziedziny życia i obejmuje coraz więcej ludzi, nawet inteligentnych, co najłatwiej zauważyć w mediach. Tam głupota jest ujęta w ramówki. Mądre audycje doprowadziłyby telewizję do upadku. Miałyby niewielu widzów, a stacje telewizyjne walczą o jak największą oglądalność, radio o słuchalność, gazety o czytelność, czyli wpływy wśród telewidzów, radiosłuchaczy i czytelników. W praktyce oznacza to możliwość dotarcia do jak największego grona potencjalnych klientów, a w efekcie wpływy od reklamodawców.

Wyobrażacie sobie, że przychodzą faceci z agencji reklamowej do działu reklamy w telewizji i pytają: czy oni mają jakąś mądrą audycję, program, bo chcieliby zareklamować w nich towar, na którym idiota się nie pozna?

Oczywiście, że taka sytuacja się nie wydarzy. Bardziej prawdopodobna jest inna rozmowa. „Słuchajcie kochani, pewien producent ma duży budżet, wręcz nieograniczony i gówniany produkt dla każdego idioty. Wymyślcie jakiś zajebisty program, który przebiję „M jak miłość”, „Ojca Mateusza”, „Plebanię” i „Klub Szalonych Dziewic” razem wzięte. Niech się Doda ogoli, niech Chylińska odmawia różaniec, wszystko jedno. Posadźmy całą Polskę przed telewizorem! Za to wam zapłacimy! Nie musimy mówić, że cenniki reklam możecie... wiecie, gdzie sobie powiesić, no w internecie, czy gdzieś tam. Chyba, że chcecie, żebyśmy z tą kasą poszli do waszej konkurencji?”

Nieprzypadkowo telewizje prześcigają się w różnego rodzaju grach, konkursach, talk-show, byle tylko przyciągnąć przed telewizory jak najwięcej Polaków. Ludzie, którzy wymyślą popularny program, audycję, nie muszą być erudytami, nie muszą zachowywać się w sposób kulturalny, nie muszą grzeszyć inteligencją, wiedzą, błyskotliwością czy humorem. Mogą wyglądać jak kretyni, zachowywać się jak z ADHD, pleść od rzeczy, zadawać bezczelne i głupie pytania, obrażać gości. Oni po prostu muszą szokować, muszą zwrócić na siebie uwagę, gdyż to zapewnia reklamodawcy jak największą widownię, a tym samym najniższe koszty dotarcia do klienta. Jeśli ktoś nabędzie umiejętność zwracania uwagi, stanie się najpopularniejszym, najcenniejszym i najlepiej opłacanym pracownikiem medialnego show-biznesu.

Bądźmy jednak sprawiedliwi, to jest gra pod publiczność, goście w studio telewizyjnym dają się obrażać, dyskutują nad każdym głupstwem, plotkują i obrażają się nawzajem. Oni też pracują na popracie widzów dla swoich partii, na promocję swojej płyty, sztuki, książki. I aby to osiągnąć, zniosą wiele więcej, niżby zniósł normalny człowiek.

Ludzie, którzy szokowali, żyli w każdej epoce. Nawet Sokrates chodził po ulicach i zaczepiał ludzi, aby z nimi dyskutować. Skazany został na śmierć za bezbożność i psucie młodzieży. Inny starożytny filozof – Diogenes, pierwszy kosmopolita, mieszkał w beczce, choć jako filozof musiał sobie zdawać sprawę, że fakt ten będzie komentowany jako dziwactwo. Widocznie mu to nie przeszkadzało, a może był na tyle sprytnym, że wiedział, że mu to przyniesie sławę. Kto pamięta normalnych filozofów, statecznych, kulturalnych, eleganckich, mądrych? Niewielkim pocieszeniem jest, że szokujące zachowanie Diogenesa określa się dziś jako zaburzenia psychiczne.

Od pewnego czasu odnoszę wrażenie, że w telewizji, zwłaszcza w programach związanych z polityką, występują wyłącznie ludzie z... zespołem Palikota. I Jadwiga Sztaniszkis.